

PRACAKTORNAD ROLA

Nina Andrycz

ROK 1941

OKUPACJA

Nie gram, bo tak trzeba. Okoliczności i organizacja każą pracować fizycznie. A los chce, że i ta praca odbywa się w Teatrze Polskim. Tyle że na dole, w palarni, którą zamieniono na restaurację. Po raz pierwszy w życiu dźwigam tacę. Ciężkie i znienawidzone. Tak trzeba. Ale myśleć można o czymś innym. I poza strachami każdego dnia, mimo troski o każdy dzień – myśleć sobie o rolach.

Tych, które już zagrałam, i tych, które jeszcze zagram, jeśli przeżyję okupację. Chodzą mi po głowie nawet nie jakieś konkretne postacie z literatury... Nie. Raczej mgliste zarysy postaci i charakterów. Nastroje, których brak. Kształty i barwy, jakich nie ma dookoła. Od kawiarnianego dymu często łzawią mi oczy, a za tą mimowolnie łzawą mgiełką rosną sobie role, jak... konwale na łące. Takie kojące w swojej czystości i bieli. I już obok role jak orchidee – wielobarwne, zagadkowe, drapieżne.

Desdemona i Księżniczka Salome.

W zadymionym podziemiu Teatru Polskiego rozmawiamy na ten temat z nieżyjącym już dziś kolegą Mieczysławem Borowym.

Ja: Sluchaj, Mieczu, tak mi wszystko obrzydło w naszym patriotycznym szynku, że najczęściej przymierzam się teraz do jakiejś „roli konwaliowej”... Pomyśl tylko, jak to będzie przyjemnie co wieczór umierać na scenie, nie znając zła.

Borowy: Ależ to rola nie dla ciebie.

Ja: Dlaczego?!

Borowy: Myślę, że ty jej po prostu nie zrozumiesz.

Ja: (oburzona) Nie zro-zu-miem?

Borowy: Bo, widzisz, to jest zupełnie proste... A ty rozumiesz dobrze tylko skomplikowane rzeczy.

Ja: (po pauzeczce) No, zdaje się, że urodziłeś niezłą definicję moich przyszłych możliwości.

Borowy: Gniewasz się?

Ja: Nie, tylko wiesz, muszę to sobie jeszcze dobrze przemyśleć. A najlepiej myśli mi się w nocy – nad tekstami. Ach, żebyś ty wiedział, ile już uzbierałam dobrych tekstów!

Borowy: Ja też zbieram. Stare piosenki. Tylko gdzieś się tego wszystkiego teraz uczyć... Pomijając trudności zasadnicze – panów w żelaznych kapeluszach, i ten parszywy skurcz serca w środku nocy – oboje jeszcze mamy za zimne mieszkania.

Ja: Ale w mojej łazience funkcjonuje plecyk gazowy. Uczę się w wannie. Zrozumię, że jeśli przestanę się uczyć nowych rzeczy lub choćby czytać, to się śmiertelnie przerażę roku 1941.

Borowy: Rozumiem.

Ja: Mieczu, a w jakiej roli obsadziłbyś mnie po wojnie?

Borowy: W Lady Milford.

Ja: Czemu?

Borowy: Bo to jest właśnie taka kobieta, która już zna i dobro i zło. A poza tym fizycznie z gatunku orchideowatych.

Ja: Na jednym z egzaminów szkolnych grałam ją. Pomyśl – to było prawie wczoraj, a już przed drugą światową.

Borowy: Niemcy weszli. Uważaj; rozumiesz tylko dwa słowa – Bier (piwo) i schnell (szybko). Nic więcej nie rozumiesz. Ja idę do kuchni.

Ja: Dobrze. Nic więcej nie rozumiem.

ROK 1951

STALINIADA

Od sloganów współczesnej dramaturgii uszy puchną. Tysiąc umakijowanych walecznych ustawia na scenie Teatru Narodowego nieprawdopodobne zabudówki. Coś przy tym pohukują... A prawdziwi budowniczości Warszawy, jeśli się zabłąkali na widownię, nudzą się zażenowani niedorzecznością sytuacji. W tych warunkach Teatr Polski decyduje się wystawić *Intrygę i miłość* Schillera. Wychodzi z założenia, że niewątpliwie wartości humanistyczne utworu przebijają się poprzez barokowość formy, wielosłowie i dotrą do współczesnych. Teatr się nie myli. Sztuka ma iść w reżyserii Aleksandra Bardinięgo, w dekoracjach Jana Kosińskiego i w tłumaczeniu Artura Marii Swinarskiego. Ja jestem obsadzona w roli Lady Milford. Po pierwszym przeczytaniu roli wpadam jednak w panikę. Dzwonię do tłumacza. I wywiązuję się między nami taki mniej więcej dialog:

Ja: Strasznie pana przepraszam, ale w tekście mojej roli, i to od razu w pierwszych zdaniach, są trudności nie do pokonania. Ja tego nie mogę mówić ze sceny i nie powiem, bo ludzie umrą ze śmiechu.

Artur Maria: Proszę się tak nie denerwować i przeczytać mi te zdania.

Ja: (czytam) „Proszę mi osiodłać najdzikszego ze wszystkich. Muszę na powietrze. I wycwałować ze siebie cały ten ciężar serdeczny”.

Artur Maria: (szczerze zdziwiony) A cóż to za bzdura! Może ktoś tłumaczyć oprócz mnie?

Ja: (cichutko) Nie. To pan.

Artur Maria: Hm... Dziwne... Ale chyba tak stoi u nieboszczyka Schillera?

Ja: Owszem. Nieboszczyk napisał po niemiecku coś w tym rodzaju. Może w książce nawet to i nie razi. Ale powiedzieć ze sceny niepodobna. Będzie nieprawdziwe, będzie śmieszne. Pan sam rozumie.

Artur Maria: No tak, tak. Reżyser mi już kilka razy wspominał o konieczności przeredagowania niektórych fragmentów. On świetnie zna niemiecki. A pani?

Ja: Trochę znam.

Artur Maria: Aha... A czy w roli pani dużo jest jeszcze takich zdań, których niepodobna powiedzieć?

Ja: Och, mnóstwo!

Artur Maria: No, na przykład?

Ja: (czytam) „Czy książkę może zmusić swój jałowy umysł, aby raz doznał wspólnego wstrząsu”, albo „Ja rozsadałam drzwi więzień”.

Artur Maria: (śmieje się) O, rany Boskie! I krasnoludki mi to wydrukowały?

Ja: A, wydrukowali. Ale ja pana błagam przeredagować jak najprędzej, bo się po

NINA ANDRYCZ JAKO LADY MILFORD
W „INTRYDZE I MIŁOŚCI” FRYDERYKA SCHILLERA
W REŻ. ALEKSANDRA BARDINIEGO
(TEATR POLSKI W WARSZAWIE. 1951)



prostu boję pierwszej czytanej próby. Artur Maria: Ktoś mi mówił, że pani ma garbatego kóta. Jeżeli on jest naprawdę garbaty, to wpadnę do pani dziś na kawę i poprawię tekst.

Ja: (bez wahania) Kot jest garbaty. Czekam o piątę.

Artur Maria dotrzymał słowa. Zaprzyżniliśmy się. Nad tekstem trzeba było jednak posiedzieć nie jeden wieczór, ale około dziesięciu czy dwunastu. Rzecz w tym, że słowa w ustach aktora, słowa wypowiadane żyją zupełnie innym życiem, niż słowa na papierze. Tłumacz musi słyszeć swoje tłumaczenie. Znajduje wtedy słowa najlepiej odpowiadające myślom oryginału. Artur Maria tedy tłumaczył, a ja na świeżo mówiłam. Tak na przykład zamiast „nie będę przebiegająca w środkach”, Lady Milford powie „ja nie cofnę się przed niczym”, i jest to w jej ustach na pewno lepsza, bo bardziej pańska, pointa burzliwego przecież rozstania z Ferdynandem. A więc prawie dwa tygodnie doszlifowywania tekstu, nie licząc naturalnie dalszych analitycznych prób. Czyż nie jest to jak najbardziej autentyczny przykład wcale niełatwej pracy aktora nad rolą? Tej, która zadecyduje w końcu o sensie i urodzie żywego słowa, wypowiedzianego ze sceny. A że podejmuje się tę pracę z reguły indywidualnie i raczej dyskretnie – żaden krytyk nie kwituje jej pochwałą. Cóż zrobić! Aktorzy często pracują gratis.

Premiera miała wielkie powodzenie. Sztuka szła około trzech lat. Pamiętam, że w dniu premiery miałam nieludzką treść i, nie wiem dlaczego, rola zaczęła we mnie rosnąć dokładnie od siódmego przedstawienia. Pamiętam jeszcze, że „Express Wieczorny” na zażalenie jakiejś organizacji, iż nie można zdobyć biletów ulgowych na przedstawienie *Intrygi i miłości*, odpowiedział krótko: „będą w przyszłym roku”. Ale wtedy nie istniała telewizja.

ROK 1955

JESIEŃ

Przemozna chęć odmiany w życiu zbiorowym i indywidualnym.

Po sukcesie *Lalki*, występach w Moskwie, po *Miesiącu na wsi Turgieniewa* – zdawałoby się, że praca nad rolą Lady Milford jest już definitywnie skończona. Ale gdzież tam! Teatr Polski w Poznaniu wystawia właśnie *Intrygę i miłość*. Jestem zaproszona na występy gościnne. I wszystko zaczyna się od nowa. Pewnego listopadowego popołudnia dzwoni do mego hotelu dyrektor Teatru:

Dyrektor: Droga pani Nino! Jestem trochę zaniepokojony! Chciałbym się dowiedzieć, jak się pani czuje?

Ja: Znakomicie. A dlaczego się pan niepokoi?

Dyrektor: Bo wie pani, trzeba trafu, że moje okna wychodzą na pani okna w „Bazarze”. Wczoraj wieczorem miałem gości. Zasiadaliśmy się do trzeciej nad ranem. Otóż zauważyłem, że u pani palą się wszystkie światła. Zdawało mi się, że pani nie

śpi i chodzi po pokoju. Czy w „Bazarze” coś nie gra?

Ja: Dziękuję. „Bazar” w porządku. To ja gram.

Dyrektor: Słucham?

Ja: Dyrektorze, no przecież muszę trochę popracować nad rolą. A najlepiej mi się pracuje w nocy.

Dyrektor: (podejrzliwie) Czy to znaczy, że jutro z rana nie przyjdzie pani na próbę?

Ja: Skądże! Naturalnie, że przyjadę. Tym bardziej, że prób tak mało.

Dyrektor: (gorzko) Niestety, my w terenie nie mamy tyle czasu, co wy tam, w stolicy. Zresztą, między nami mówiąc, grała już pani tę rolę chyba ze sto pięćdziesiąt razy. Sufler twierdzi, że całą sztukę umie pani na pamięć. Więc czy nie wystarczyłyby poranne próby?

Ja: Oj, nie wystarczyłyby. Sęk w tym, że ja weszłam w nowe otoczenie. Przyjazne, Bogu dzięki, niemniej kompletnie nowe. Koledzy partnerzy dopasowują się do mnie, ale przecież z kolei i ja muszę dopasować się do nich, i w dodatku szybko. Warszawska Luiza (Ewa Krasnodębska) była mocniejsza, bardziej kobieca. Wasza poznańska (Aleksandra Koncewicz) jest liryczna, wiotka. Nie mogę na nią tak krzyknąć. Nie chcę potrząsać jej za ramiona. Wasz Ferdynand (Rafał Kajetanowicz) wygląda też bardziej chłopięco, więc muszę inaczej prowadzić z nim całą rozmowę. Już teraz muszę się przestawiać. Mam tremę i dlatego nie mogę spać.

Dyrektor: Ferdynand jest panią prywatnie onieśmiałony. To przejdzie. Ale jeśli wolno radzić, niech pani wybierze się z nim na kawę, lub na kiellszek wódki. Niestety, pani zdaje się nie pić.

Ja: Kiedy pracuję nad rolą, to – szczerze mówiąc – piję. Raz dla kurażu, raz dla odprężenia.

Dyrektor: To świetnie! Zatem życzę pani dobrej nocy, to jest dobrego świtu.

Na premierze w Poznaniu publiczność przyjęła sztukę owacyjnie. Wzruszona długotrwałymi brawami, zdecydowała się przemówić. Zażartowała, że bardzo żałują, iż Fryderyk Schiller nie dał Lady Milford trochę więcej tekstu. Nazajutrz złożył mi wizytę pewien germanista.

Germanista: Łaskawa pani! Śmiem twierdzić, że Schiller dał Lady nieco więcej słów, niż te, których wysłuchaliśmy wczoraj ze sceny. Pani ma określoną rolę.

Ja: Tak jest. Bo trzeba określać. Czy podobałoby się panu na przykład takie wypowiedzi jak: „gmach mego honoru”, albo „obraz ukochanego znów rozpocznie krwawe zapasy w mym sercu”?

Germanista: Ach, nie. Nie podobałoby się. I co do tego ma pani rację. Ale proszę sobie przypomnieć inną, prawie muzycznie brzmiącą frazę, jaką ma pani w końcowym monologu.

Ja: Czy tę? „Zejdę dziś ze szczytu...”

Germanista: (przerywa) „Wie eine fallende Sonne”. To piękne – to „fallende Sonne”, nieprawdaż?

Ja: Prawda. Ale czy po polsku brzmiałoby pięknie – „zejdę” i „zachodzące słońce”?

Germanista: (po chwili) To niech będzie

„słońce gasnące”. Bardzo proszę, niech się pani zechce jeszcze tego nauczyć. Słyszałem to w Burgteatrze. A dlaczegożby polska artystka miała się bać romantycznego zwrotu?

Tak po stu pięćdziesięciu przedstawieniach doszło mi jeszcze to „słońce gasnące”, które w rezultacie bardzo polubiłam.

ROK 1969

KOLEJNA ZMIANA DYREKCJI

Teatr wraca do pomysłu wystawienia *Intrygi i miłości*, ale tym razem w nowej – oczywista – inscenizacji Wandy Laskowskiej, w dekoracjach Ottona Axera. Jestem obsadzona w roli Lady Milford i rozpoczynam w zupełnie nowym gronie kolegów, to znaczy jeszcze raz od nowa – pracę aktora nad rolą. Oczywiście, że rola ta jest już w jakiś sposób przygotowana, po pierwsze w swojej warstwie słownej, po drugie w warstwie rozumowo-emocjonalnej. „Język giętki” dopomógł i pewne akcenty uczuciowe wykrystalizowały się we mnie na dobre. Ale przecież rola to nie tylko konstrukcja intelektualna, emocjonalna, czy estetyczna. To jeszcze, u wielkich klasyków zwłaszcza – struktura moralna. Trzeba poprzez rolę dotrzeć do świadomości współczesnych widzów, i wyjaśnić im, że moja Lady Milford to nie tylko „szlachetna kurtyzana”, ale przede wszystkim prawy, odważny człowiek.

Z osłonek obyczajowości już zwietrzałej trzeba wydobyc miąższ sensu moralnego. A jest nim głód szczęścia, poczucie niesprawiedliwości społecznej i walka o miłość. Pobudki działania, które się bynajmniej nie zestarzały. Jeśli je w roli obnażę przed widownią, to uczynię „wzniosłą faworytę” siostrą ludzi współczesnych, żywiących przecież bardzo podobne pragnienia. Od mojej pierwszej Milford upłynęło sporo czasu. Jestem krytyczna. Przygotowując rolę, widzę siebie w kilku lustrach. I oto nagle przypominają mi się moje młodzieńcze „botaniczne porównania” w opisie ról z Borowym.

Ależ tak! Powracać można tylko do „ról orchideowatych”, bo orchidea nawet wędznąć – nie traci kształtu.

ROK 1974

STUDIO TELEWIZYJNE

Aż nie do wiary, ale musiałam jeszcze raz powrócić do roli Lady Milford, co prawda w dużym skrócie. W ramach „Mojego Programu”, z kolegą Stanisławem Mikulskim jako Ferdynandem. A po upływie kilku miesięcy, wystąpiłam gościnnie w tejże roli – w Sandomierzu, na zaproszenie klubu przy Hucie Szkła.

Robotnicza widownia wychyliła zupełnie inne momenty w monologu mojej Milford, przede wszystkim te, które dotyczą tyranii możnych i nędzy ludu. Inność percepcji poddaje inność interpretacji. Oto dlaczego 325-ty spektakl może wcale nie nudzić. Oto dlatego praca aktora nad rolą może już nie mieć określonych godzin w rozkładzie dnia i, w pewnych przypadkach – zająć pół życia.